

Instynkt

Czy pani dostrzegła i jak pani tłumaczy odpyły publiczności z teatru?

Pisarz, którego nie tylko lubię, ale i szanuję, Adolf Rudnicki powiedział w swej ostatniej książce: „wszystko zjadła polityka, wszystkich zjadła polityka”. Odnosi się to w dużym stopniu do odbiorców sztuki teatralnej, czyli naszych widzów, tych, dla których gramy. A ponieważ co wieczór, nawet nie wychodząc z domu, mogą oni obejrzeć nie jakąś lepszą lub gorszą fikcję literacką, tylko tętniącą życiem i prawdziwie bulwersującą rzeczywistość — siłą rzeczy — stopniowo zacierają potrzebę chodzenia do teatru. Tym bardziej, że owa rzeczywistość dostarcza im i widowisk i słuchowisk co się zowie awangardowych. Kwitnie przecież na szerokim świecie teatr okrucieństwa. Czyż potrzeba przykładów? Dobrze. Dam jeden zaiste wstrząsający. Oto jakiś fanatyczny i nie całkiem normalny mówca — kapłan namawia w 1978 roku w Gujanie swoich słuchaczy do popełnienia... zbrojowego samobójstwa. I pada dziewięćset osiemnaście trupów. Matki zabijają dzieci, a mężowie — żony. Jest to fakt historyczny, przy którym błędną ofiary pojedynków u Szekspira. Na równi z ponurym teatrem okrucieństwa, ogromnie rozszerzył zasięg swego oddziaływania jakże aktualny teatr absurdu. Nietrudno dostrzec w ilu miastach i wsiach polskich daje on swoje regularne występy. Niezmiennych uczestników i widzów posiada również teatr ubogi, ale nie Grotowskiego, tylko ten autentyczny, w Afryce. I teatr przebogaty na Florydzie, i na jachtach ze złotymi bidetami. Czy oszołomiony i zmęczony tym wszystkim człowiek może potem przeżywać w profesjonalnym teatrze, no, powiedzmy, spór dwóch starszych panów o murek graniczny z tektury? Naturalnie, ten repertuar z reguły podpira młodzież szkolna, bo należy on do lektur obowiązkowych, ale chyba nikt nie wątpi, że podpira niechętnie, bo woli muzykę rockową.

KRÓLOWA ELŻBIETA VALOIS W „DON CARLÓSIE” J. S. HILL, RA. REZ. W. HANČKA

w drugiej roli

Franciszek Myszowski

gry jest wieczny

Z NINĄ ANDRYCZ,
aktorką Teatru Polskiego
rozmawia Barbara Henkel

Czyby pani zwątpiła w teatr?
Nie! Stwierdzając kolejny kryzys w teatrze zawodowym, ja wcale nie chcę powiedzieć, że to zmierzch. Wiem i wierzę, że teatr jest wieczny, bo wieczny jest instynkt gry i potrzeba teatralizacji każdego ludzkiego życia (śluby, pogrzeby). Poza tym zawsze się znajdzie taki autor lub reżyser i tacy artyści, na których ludzie przyjdą i chętnie i tłumnie. Oto dwa przykłady z praktyki toczącego się sezonu. „Mistrz i Małgorzata” w warszawskim Teatrze Współczesnym, gdzie obserwowałam szczere wzruszenie publiczności zarówno tematem, jak i wykonawstwem. Albo ostatni festiwal imienia Jana Kiepury w Krynicy, w którym brałam udział i widziałam na własne oczy, jak ludzie bili się przed kasą o bilety. Toteż konstatując w tej rozmowie pewną sytuację kryzysową w teatrze, zdaję sobie sprawę, że cały kraj przeżywa kryzys i nie mam zamiaru tragizować. A jeśli ośobiście nie znajdę odpowiedniej satysfakcji artystycznej na deskach

Teatru Polskiego, to jest mojej sceny macierzystej — wystąpię gościnnie na innej.

Wie pani już na której?

Zdziwi się pani. Na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi. Ależ tak! Kiedy dyrektor Stawomir Pietras zapropnował mi to angagement, byłam zaskoczona. Ja? Na scenie operowej? — jęknęłam. A on na to: podobno sam Leon Schiller mówił o pani: „mowa Andrycz to krótki śpiew”. Nie widzę zatem przeszkód.

A cóż pani na tej scenie operowej zagra?

Królową Hiszpanii Elżbietę Valois z „Don Carlosa” Schillera, ale Fryderyka. Następnie Marianitę z „Mariany Pinedy” Garcii Lorki i na zakończenie nieco frywolną hrabinę Dianę z „Psa ogrodnika” Lope de Vegi. Nawiasem mówiąc, dyrektor Pietras dobrze sobie zapamiętał sukces tego repertuaru w Łąncucie.

Gdyby napisano o pani sztukę, jakby pani siebie widziała?

Przecież to już miało miejsce w Starej Prochowni u kolegi

Siemiona. To była „Gwiazda H. Kajzara.

Otóż mój monolog w „Gwieździe” był w dużym stopniu o mnie, o moim życiu, o moich lękach i nadziejach wyrażanych często własnym tekstem.

Jak to się stało, że „jego tyrańska moc teatru”, mówiąc słowami pani wiersza, dopuścił jeszcze do głosu poetkę. Ninę Andrycz i trwa pani już nie tylko „w roziskrzonym scenicznym pudle” ale i w trzech tomikach: „To teatr”, „Drugie spotkanie z diabłem” i „Rzeka-rozłąka”.

Nie ma pani pojęcia jak teatr się bronił, jak się oburzał, jak nawet kpił z późnego poetyckiego debiutu. Ale cóż, gwoli prawdy powiedzieć trzeba, że pisałam już w szkole dramatycznej, tyle, że zawsze do szuflady. Trzeba było dopiero wybuchu drugiej wojny światowej, aby teatr umilkł na sześć lat, a wtedy wiersze doczekały się staranniejszego przejrzania i pierwszej korekty. Po kilku zaś latach, kiedy szuflada była już pełna, pokazałam tak zwany mate-

riał ostatniemu ze sławnej plejady skamandrytów — Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, prosząc o obiektywną ocenę, nie przez przyzmat Solange, którą grałam w „Lecie w No-hant”. Otóż poeta skierował mnie niezwłocznie do „Czytelnika”. Jeszcze się ościagałam nieco... Wołałam najpierw wygłosić wiersze z es-trady poetyckiej — też u Siemiona. Tam je usłyszał Jerzy Zagórski i również odesłał mnie czym prędzej do „Czytelnika”. No, a dalej już poszło. Włączyła się nawet i firma skądinąd konkurencyjna — Wydawnictwo Literackie — która wydała mój trzeci tomik „Rzeka-rozłąka”, najszybciej rozsprzedany.

Czy własne wieczory autorskie sprawiają pani podobną satysfakcję jak występy teatralne?

Tego się nie da porównać. Wieczór w klubie, gdzie ma się publiczność na wyciągnięcie ręki, gdzie nie ma świateł, kostiumu, rekwizytów, przebiega zupełnie inaczej, może bardziej kameralnie, rzekłabym nawet — inty-

DIANA W „PSIE OGRODNIKA” LOPE DE VEGI
REZ. R. NIEWIAROWICZ



mniej. Wiele też zależy od tego, kto i jak słucha. Przecież wiadomo, że są takie cisze, które równają się najgorętszym oklaskom.

A słyszała pani swoje wiersze również w wykonaniu innych aktorów?

Ależ oczywiście! Wspaniale mówi moje wiersze satyryczne (jeszcze nie drukowane!) Wojciech Siemion, przyjaciel poetów. Moje liryki ładnie mówił Ryszard Barycz, a refleksyjne wiersze — Krzysztof Kalczyński. Nawet wszyscy razem jeździliśmy z programem pod tytułem: „Nina Andrycz przedstawia siebie nieznaną” na występy gościnne do Rzeszowa.

Chciałabym wiedzieć, jakie miejsce w pani życiu zajmuje przyjaźń.

Jedno z najważniejszych. Wiele zawdzięczam mądrym radom: mojemu zmarłemu przyjacielowi, filozofowi Robertowi Waltera, któremu poświęciłam wiersz „Horoskop”. W sprawach poetyckich bardzo się liczę z opinią Pawła Hertza. W sumie wolę przyjaźnić się z mężczyznami. Nie są tak małostkowi! Potrafią darować jakiś nietakt czy zły humor, czy źle dobrane... pantofle do sukienki.

A właśnie! Jaki jest pan stosunek do wszelkiej krytyki. Czy pani, przywykła do hołdów, potrafi też przelknąć i gorzką pigułkę?

Stosunek mój jest czujny i uważny. Oczywiście, jak każda istota publiczna, miewam hymny pochwalne i napaści. Jestem podejrzana, diabli wiedzą dlaczego, o wyniosłość, o afektację. A w rzeczywistości jestem, tak jak w tej rozmowie z panią, bardzo bezpośrednia. Na ogół dobrze wiem, o co mi w życiu chodzi i umiem spojrzeć na siebie z dystansu.

A w pracy i życiu kieruje się pani bardziej rozumem czy uczuciem?

Jednym i drugim plus siłą woli, bez której niepodobna utrzymać pawet dobrej kondycji fizycznej. A kocham słodczy, zwłaszcza domowy tort orzechowy. Z trudem rezygnuję... a czasem i ulegam pokusie.

Proszę powiedzieć, czy tyłek opisywana w prasie pani wierność Teatrowi Polskiemu nie wynikała aby z lęku przed zmianą?

Broń Boże! Byłam wierna po

prostu swojej młodości i swojej miłości, które w tych murach przeżyłam. Tego niepodobna zapomnieć i szkoda byłoby przekreślać. A poza tym gmach Teatru Polskiego został zbudowany według projektu znakomitego architekta Czesława Przybylskiego, w cywilu mojego wujaszka. Jestem więc tu poniekąd u siebie.

A jak się pani mieści w czasach, w których żyjemy?

No cóż, nie ma powodu ukrywać, że pochodzę duchowo z wielkiej krainy polskiego romantyzmu. Nic co romantyczne nie jest mi obce. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że przeceniam utopijny sposób myślenia lub kocham tylko zamki na lodzie. O tych sprawach bardzo mądrze i wnikliwie pisze pani profesor Maria Janion. Utkwiła mi w pamięci jej definicja mówiąca, że nastał czas formy otwartej. Bardzo bym pragnęła tą właśnie formą się posłużyć w dalszej twórczości.

O ile mi wiadomo, został przyjęty czwarty tomik pani poezji w „Czytelniku”. Jaka niespodziankę nam pani szykuje?

A to już sami czytelnicy osądzą. Tomik nosi nazwę: „Róża dla nikogo”. Wyraża moje buntownicze nastroje w sprawach dotyczących kondycji ludzkiej kobiet, małżeństwa, macierzyństwa, pewnych złych nawyków i bolączek współczesnej cywilizacji. Zresztą, daję pani wiersz — z ostatniego właśnie tomiku — który naświetla niepokojące w moim odczuciu zjawiska naszej codzienności. ●

Nina Andrycz

TEMAT

Moi współcześni nie są dość prawdziwi. Chyba dlatego, że na wpółumarli z trudem żywych udają.

Nie mogę współczuć skandującym krtaniom nieżyłom mózgow, sflaczałym ze strachu herpesom, stresom, rozdarciom.

Z pewnością jestem pyszna — racji nie mam Herkules w stresie — to dopiero temat! Cóż gdy poza mną.



„MARIANA PINEDA” GARCII LORQUI.
REŻ. W. HAŃCZA